

Intrygująca Gujana

Ten jeden z najbiedniejszych krajów Ameryki Południowej ma szansę dzięki odkrytym złóżom ropy stać się nowym El Dorado. Czy jednak nie ucierpi na tym jego naturalne piękno?

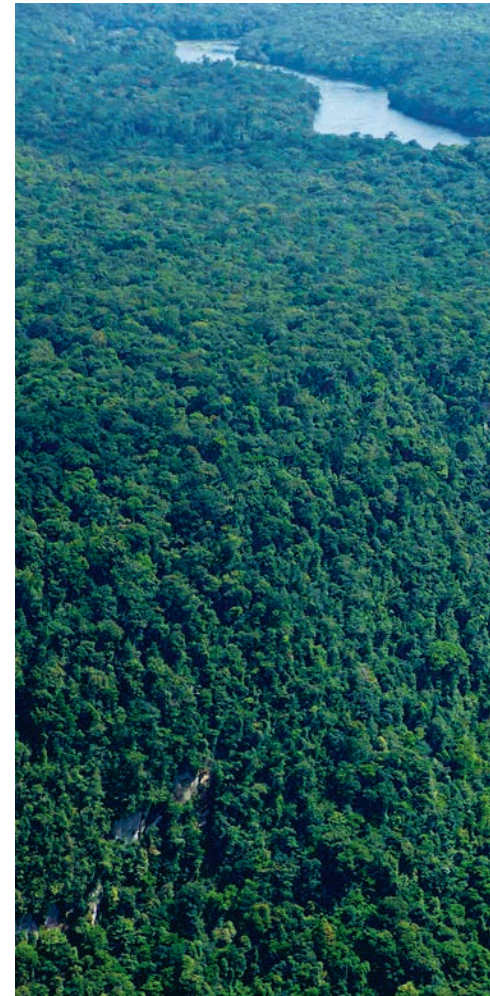
JACEK PAŁKIEWICZ

Na zajęciach ze studentami z wydziału dziennikarstwa podniosłem zbyt wysoko poprzeczkę, stawiając setkę słuchaczy w niezręcznej sytuacji. Nie do końca potrafili zlokalizować i odróżnić trzy Gujany na porośniętym wilgotnym lasem tropikalnym kontynencie południowoamerykańskim. Sprawilem jeszcze większy kłopot, kiedy zapytałem o Gwineę, Gwineę Bissau, Gwineę Równikową oraz Nową Gwineę.

Dzisiaj wracam myślami do Gujany, nazwanej przez zapomniane już plemiona Ziemią Wielu Wód z powodu dużej liczby rzek, które przecinają ten cały egzotyczny kraj pokryty pierwotną puszcza. W byłej kolonii brytyjskiej, skarbicy kolonialnej architektury, można spotkać przeważnie potomków afrykańskich niewolników, dominujących Hindusów, sprowadzonych po zniesieniu niewolnictwa do pracy na plantacjach, imigrantów z Europy, Karaibów oraz niedobitki rdzennej ludności tubylczej. Arkady Fiedler pisał o szczęśliwych Indianach, ja pół wieku temu zdążyłem jeszcze spotkać takich ostatnich, nielicznych, ale dzisiaj już ich nie ma. Obecnie pozostało niewiele „nieodkrytych” miejsc, gdzie turyści wciąż jeszcze stanowią rzadkość. Mniejsza o jedną trzecią od Polski, zamieszkała przez niespełna milion mieszkańców, Gujana poza jeszcze nie do końca poznaną, nieskazitelną tropikalną przyrodą nie ma tak

naprawdę nic więcej do zaoferowania, ale jest godna uwagi.

Jeszcze do niedawna to jedno z biedniejszych państw regionu egzystowało dzięki kluczowej kopalni złota, ale głównie w wyniku rabunkowej wycinki lasów deszczowych i eksportu tego cennego surowca do Chin, Indii czy Wietnamu. Dziś, nieoczekiwanie, Gujana znalazła się przed niepomiarłą szansą. Sir Walter Raleigh nie znalazł El Dorada, którego poszukiwał w XVI wieku, ale 8 lat temu odkryto tu tzw. czarne złoto, czyli złoża ropy porównywalne z tymi należącymi do Omanu i Norwegii. Mało znany kraj wyrósł na nową globalną potęgę naftową, stając się najszybciej bogacącym się krajem na świecie. Nie brakuje przepowiedni mówiących o tym, że jeśli dość młoda, z burzliwą przeszłością, demokracja poradzi sobie z brakiem stabilności politycznej, lokalnymi konfliktami etnicznymi, korupcją i pułapkami światowych konsorcjów naftowych, to w niedalekiej przyszłości stanie się jednym z najbogatszych państw regionu.



Indianie na rzece Potaro



Zdjęcia: Archiwum Autora/Shutterstock

Wodospad Kaieteur – najwspanialsza atrakcja przyrodnicza i turystyczna Gujany

Stolicę kraju – nad podziw specyficzny Georgetown poznałem kilka dziesiątków lat temu, bo tu zakończyłem moją atlantycką przygodę: rejs szalupą ratunkową w roli dobrowolnego rozbitka. Teraz, gdy wysiadam z samolotu, uderza mnie fala gorąca, tak intensywna jak tętniąca życiem atmosfera miasta. Miasta, w którym zderzyły się kultury karaimskie i południowoamerykańskie, tworzące efektowną mozaikę. Duchową ucztą było dla mnie odkrycie w mieście tej samej urzekającej niderlandzkiej architektury kolonialnej wymieszanej z tą wiktoriańską, wywodzącej się z czasów kolonii holenderskiej i brytyjskiej, która pozwala mi się cofnąć w czasie. Nie przeszkadzało mi, że w drewnianych, otoczonych werandami zabudowach widać było sporo zaniedbań, że natykałem się na podupadające

Mało znany kraj wyrósł na nową globalną potęgę naftową, stając się najszybciej bogacącym się na świecie.

pałacyki i ogólny chaos w mieście. Liczyła się unikalna atmosfera, gdzie czas się trochę zatrzymał pośród bajkowych XIX-wiecznych budowli zlokalizowanych przy atrakcyjnej Main Street, uroczych, wysadzanych drzewami uliczek, a przede wszystkim pośród markowego targu Stabroek czy imponującej konstrukcji ratusza albo majestatycznej wiktoriańskiej katedry św. Jerzego – jednego z najwyższych wolnostojących drewnianych budynków na świecie. Atrakcję niewątpliwie stanowi także okazały ogród botaniczny.

Gwoździem programu turystycznego w Gujanie jest wodospad Kaieteur. Agencja, kierowana przez Steve'a, za dbała o żywność i hamaki z pałatkami przeciwdeszczowymi oraz moskitierę. Mam też mój osobisty ekwipunek podróżniczy rozłożony w szesnastu kieszeniach lekkiej bluzy typu „safari”: krople do uzdatniania wody, duży nóż survivalowy, rękawiczki niezbędne w selwie, papier toaletowy, środek przeciw insektom, pęsetka, okulary przeciwsłoneczne, latarka, dokumenty i pieniądze w torbie wodoodpornej, GPS i lotnicza mapa regionu.

Najpierw przez godzinę podążamy porządną drogą do Linden w sercu lasu równikowego, utrzymującego się z wydobywania oraz wstępnej obróbki boksytu. Stamtąd autem terenowym jedziemy do pobliskiego Rockstone i jeszcze dalej, aż do zapyziałej osady, gdzie kilkudziesięciu mężczyzn przepłukuje mętne, brudnożółte wody rzeki Essequibo w poszukiwaniu złota i diamentów.

Desmond, dziarski i pewny siebie typ, jest gotów za 100 dol. dowieźć nas jutro do wodospadu. Noc spędzamy w jego pływającym domku, gdzie gości nas kolacją z delikatnego, różowego mięsa z ogona kajmana, zakrapianego miejscowym rumem. Nieco przed świtem, w całunie porannej mgły, załadujemy nasze bagaże na smukłe czółno wydłubane w jednym pniu drzewa. Jest wąskie oraz wywrotne i ma mały silnik przyczepny, który powinien zagwarantować nam dotarcie do celu w ciągu jednego dnia.

Rzeka, szeroka jak Wisła pod Krakowem, leniwie niesie żółtą masę mułu, gałęzie i kłoc drewna. Po kilku godzinach kierujemy się do Rio Potaro, gdzie prąd jest tak wartki, że sternik z trudem sobie z nim radzi. Płyniemy w palących promieniach słońca wzdłuż ściany bujnego lasu. Ogromne motyle o przedziwnej kolorystyce przysiadają w łodzi, ale szybko odfruwają, bo zniecierliwiały się na drzewach wrzaskliwe stado małp. Tu i ówdzie, na zwisających do wody lianach, siedzą miniaturowe kolibry i barwne papugi, które wcale nie reagują na terkot silnika. Coraz rzadsze stają się domostwa osadników na karczowiskach. →

→ Na krótkim postoju, by rozprostować zbolące kości, uderza nas pełna napięcia cisza, podczas gdy upajający aromat orchidei miesza się z duszącym zapachem zbutwiałej roślinności.

Przechodzi krótki ulewny deszcz i rzeka staje się bardziej wezbrana. Bystry nurt zmusza Desmonda do szczególnej uwagi, ale widzę, że bardzo pewnie omija zdradliwe mielizny, wiry wodne i spienione kipiela. Koryto rzeki staje się coraz węższe, na brzegu pojawiają się skały; zdarza się, że na bystrzach musimy przepychać łódkę, brodząc po pas w wodzie, co w dusznym i wilgotnym powietrzu staje się męczące. Wydaje się, że matka natura i klimat sprzymierzyły się ze sobą, aby utrudnić wszelkim intruzom penetrację tego nieskalanego świata. Nagle zwaliste bloki skalne uniemożliwiają dalszą żeglugę i resztę drogi jesteśmy zmuszeni przebyć pieszo. Kolejny



Majestatyczna anglikańska katedra św. Jerzego, zbudowana w 1892 r.

Zdjęcia: Archiwum Autora/Shutterstock



Ratusz – jedna z bardziej imponujących budowli w Georgetown

już raz w ciągu dnia nacieram się repelentem, bo chmury moskitów atakują każdą odsłoniętą część ciała i żądla nawet przez koszulę. Z maczetą w rękę, ślizgając się na mokrym terenie, przedzieramy się przez zielony mrok po le dwie widocznej ścieżce.

Wreszcie słyszę głuchy łoskot wody, po czym odsłania się ukryta głęboko w dziewiczej dżungli hipnotyzująca majestatyczna sceneria – wodospad Kaieteur. Rozlana na szerokość 100 m



🔗 palkiewicz.com

Jacek Pałkiewicz
Wydawnictwo: Świat Książki
Liczba stron: 406
Oprawa: miękka
Cena: 49,90 zł
Zamówienia: tel. 34 324 36 45
w godz. 7-15
ksiegarnia@niedziela.pl

rzeka Potaro z przewlekłym grzotem zwała w mroczną czeluść, na głębokość 225 m, bezgraniczną masę wody. Przerasta wielokrotnie słynną Niagarę, ujarzmioną dla potrzeb przemysłu turystycznego, czy podziwiany przez Davida Livingstona wodospad Wiktorii na Zambezi. Zbliżyłem się do wysuniętego na samym skrawku urwiska punktu widokowego, skąd mam możliwość podziwiania w całej krasie. Trudno mi się oprzeć atmosferze niedościgniętego piękna rozjuszonej siły przyrody, zapewniającej tak zawrotny spektakl. Silne prądy powietrza wyrzucają w górę rozpyloną mgłę wodną, w której kroplach rozszczepiają się promienie słoneczne, tworząc na niebieskim sklepieniu barwne kolory tęczy. W obliczu tego kolosalnego pomnika dziedzictwa surowej mocy naturalnego środowiska czuję się niechętnie mizerną i ulotną istotą.

Czas wracać. Za moimi plecami ognista kula słońca, nisko zawieszona nad gęstwiną lasu tropikalnego, ukraśnia krwawą barwą jego zielony baldachim. W najbliższych dniach znajdę się w moim domu, betonowej dżungli, odległej o lata świetlne od tutejszego świata. 📍

JACEK PAŁKIEWICZ
Reporter, eksplorator